№ 9.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 26. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Dziennik domowy ma przy sobie mody ze starego przyzwyczajenia, jak to już nadmienił. Pewno nie z przyzwyczajenia redakcyi, ale z przyzwyczajenia czytelników. Mód mu nawet porzucać nie wolno, jeśli chce przy życiu zostać. Skoro więc mody są tak ważną rzeczą dla Dziennika domowego, to musi się nad niemi zastanowić. Wszystkie mody idą z Paryża, a o Paryżu można powiedzieć, że jest jedyne miasto w Europie, które wcale niezna i niema mody. Tam przyjść do składu kapeluszy męzkich czy kobiecych, bo na téj właśnie części ubioru najbardziéj się wybija moda — to okaże się, że niemal każdy kapelusz jest inny. Po balach, po publicznych spacerach, widać suknie wszelkiego kroju na ludziach płci obojéj. Miła jest ta rozmaitość, dowodzi ona wolności i niezawisłości ducha, wzgardę dla naśladownictwa. U nas młodzi ludzie wyglądają na zgromadzeniach i zabawach jednakowo, jak rossyjska piechota. Są to sami niewolnicy, którym na czole wybija się tatarska uległość dla samodzierczéj mody,

Z Paryża tedy, gdzie niema mody, rozlewa się moda po całym świecie, w ten sposób: ponieważ każdy ubiera się podług swéj fantazyi, lub wygody, dla tego często się pokaże coś odmiennego, niewidzianego: redaktorowie pism krawieckich donoszą o tém swoim czytelnikom. Pisma odleglejsze od Paryża roztrębują echo po Europie i po za Europą. Ogłoszenie mody skoro wyjdzie po za Francyą, zaraz z prostéj nowiny staje się ustawą. Ryciny nadają modzie przywiléj i są dopiero takiém zatwierdzeniem ustawy, jak niegdyś była pieczęć kanclerska na pismach wydanych od króla.

W Paryżu są ludzie, którzy się trudnią i wymyślaniem mody. Nie robią oni tego całkiém na oślep. Starzy Polacy powiadali, że opiekunem mody był czart: ze miał beczkę, w którą pakował różne szaty, a skoro była napełniona, to ją wysypywał, i co było na spodzie, to zostało na wierzchu, i mody znów przechodziły dawną koléj. — To zupełnie fałszywe postrzeżenie: mody się wracały niekiedy, ale rzadko. Miały one główną podstawę w stósunkach z różnemi narodami, a mianowicie we wojnach. W podróżach czepiały się Polaków mody zachodniéj Europy, a we wojnach oryentalne i mianowicie tatarskie lub tureckie. Zależały więc zmiany w ubiorach czyli mody, od ważnych okoliczności, bo od stósunków polityčznych. To samo i dziś się dzieje, lubo w inny sposób. Ci, co mody wymyślają, nie podróżują, ani nie wojują, ale czytają gazety po kawiarniach i na nich osadzają swoje gienialne pomysły. Podczas wojny greckiéj, buchate rękawy i nogawki odpowiadały czasowi, podczas wojny polskiéj każda suknia była niejako czamarkowata. Jeżeli wolność we Francyi robi postęp, natenczas kolor czerwony znajduje sympatyą. Śmierć człowieka wielkiego wpływu narzuca kolor czarny. Na balach téj zimy w północnéj Europie mężatki czarno nieraz stroiły głowę i nie wiedziały, że po księciu Orleańskim tak późno się wybrały ze żałobą. Mód nie widać w Paryżu, ale tam się rodzą i tam są ludzie, którzy je wymyślają, a przytém tylko na kieszeń zagranicy obliczają. Wchodzą nieraz w zmowę z fabrykantami materyi, kupcami, krawcami i znakomite osoby, które swoim ubiorem dają powód do rozkrzyczenia po świecie, że teraz jest taka i taka moda. Najgłówniejszymi autorami mody są atoli ludzie płytkiego przemysłu, jak fryzye-

rowie, golibrody, pedikury, to jest ci, co elegancko paznokcie obcinają, fabrykanci i handlarze pachnideł i rozmaici im w zatrudnieniach podobni.

W Anglii lud ceni wysoko lorda, kiedy żyje stósownie do dochodów, kiedy sprawia wiele pojazdów, sprzętów i rzeczy kosztownych. Mówią, że on robi jak powinien, bo wspiera przemysł. Nasi salonowi filozofowie, których to starzy Polacy bardzo pięknie nazywali „jaskrawemi łepkami“, z téj saméj zasady bronią mody. Ale rozumniejsza część narodu uzna, że społeczeństwo obejdzie się bez ludzi, którzyby w jego organizmie grali tylko role brzucha. Każdy ma trawić i każdy produkować. Porzucać więc suknią dobrą w Polsce dla tego, że inną wymarzył jaki fryzyer paryzki, jest to marnotrawić rzecz swoją i owoc pracy społecznéj. Ale na szczęście mody coraz mniéj mają wielbicieli, — i dzisiaj zawracać sobie głowę modą, jest to dowodzić tylko pustoty umysłowéj. Ludzie, co nad drugich celują suknią, rzadko zacelować potrafią głową.

Po téj rozprawie do Dziennika domowego, dołączamy jednak rycinę z modami, i pewni jesteśmy, że niniejszy artykuł będzie postrzyżony nie w jedném miejscu na musterko do kołnierzyka albo peleryny, podług najnowszéj mody.

OJCIEC CYRYL
profesem.

Powiastka osnuta na tle prawdziwego zdarzenia

przez

B. F.

(Ciąg dalszy.)

W rogu izby starosta z Bukowskim, pochyleni nad marmurowym stolikiem, pilnie w szachy grali. Nikt więc nie patrzał na boleść, oblewającą twarz Janka.

Dość długo było milczenie, bo partya jeszcze się ciągnęła; aż nakoniec starosta zawołał: „mat!“ A kiedy Bukowski wynajdywał jakieś sposoby wydobycia z matni króla, ten już stał przed Jankiem, i wpatrując się w niego z czułością, mówił:

„Chłopcze! nie susz się, nie wzdychaj, bo na wojnę sił trzeba.“

Janek porwał się z miejsca i objął starostę za kolana.

„Nie gniewaj się wasza miłość na mnie, że choć mam i wasze słowo, nie wierzę, żebym otrzymał rękę panny Krystyny.“

„Powstań chłopcze i uspokój się. Niepewność, to zwyczajna choroba rozmiłowanych.“

„Nie! — ja widzę jasno, że pani starościna mi nie sprzyja — słowom ojca Cyryla coraz bardziéj ucho daje — a ja znam ojca Cyryla! — nie dostanę panny Krystyny — umrę, jeżeli innego zaślubi.“

„Co waści w głowie, Janku!? uspokójcie się.“ I podniósł go, uścisnął, mówiąc: „Będziesz miał Krysię, choćbym i żyw z wojny nie wrócił — przyrzekam ci to mojém szlacheckiém słowem.“

Tak solenne zapewnienie uspokoiło młodzieńca, ale posępności z czoła nie rozegnało.

Wnet zaczęło się zwykłe grono osób zbierać do bawialnéj izby na wieczorną rozrywkę. Mężczyzni jedni zabawiali się w arcaby, drudzy w szachy. Z kobiet sama tylko starościna zasiadła koło komina z kądzielą, i wśród warczenia kołowrotka prowadziła rozmowę z ojcem Cyrylem o rzeczach świętych. Słowa jezuity tak były budujące, pełne łagodności chrześciańskiéj i potrzeby poświęcenia się dla bliźnich, że gdyby Janek go słuchał, możeby się zachwiał w swéj wzgardzie ku niemu. Lecz młodzieniec siedział tęskny z podpartą na dłoni głową, raz po raz niespokojnie spoglądając w drzwi przyległéj izby. Nadaremnie zadrżał na każde trzaśnięcie klamki; nie wchodziły panny, jak się to co wieczór działo. I one siedziały tęskne w panieńskiéj izbie — ale szycie dla jegomości trzeba było kończyć.

Bukowski z żalem spoglądał na młodzieńca, a nakoniec zbliżył się do niego i szepnął:

„Chcecie pożegnać Krysię, i powiedzieć, ile ją miłujecie?“

„Jakże? kiedy po północy muszę koniecznie wyruszyć“ — odparł ten ze smutkiem.

„Pożegnacie się przed północą.“

Janek pochwycił go radośnie za rękę, lecz Bukowski znów szeptał:

„Cyt! — nic po sobie nie pokazujcie, bo nie my sami w izbie. Lepiéj nawet waszmość wynidź i wywzdychaj się sam na sam, żeby przy wieczerzy nic nie dać po sobie miarkować.“

Janek się oddalił — bo nie masz posłuszniejszéj istoty na świecie, jak rozkochany mężczyzna, we wszystkiém, co ma związek z jego miłością. Przeciwnie zaś kobieta — ona lubi pokazywać wolą, i dawać co chwila uczuć, że rozkazuje — może dla tego, iż tylko ten raz w życiu udaje jéj się panować.

Już czas wieczerzy nadchodził, kiedy panny przyszły do bawialnéj izby. Bukowski zbliżył się do Jadwigi, powiedział jéj półgłosem kilka żarcików, ona

się zaśmiała — on jéj szeptał do ucha — i wyszedł. Nikt na to nie zważał, gdyż Bukowskiemu poufałość z pannami była pozwolona. Piąty krzyżyk, do którego się zbliżał, i postępowanie całego życia, zasłaniały go od wszelkiego podejrzenia. Jeden tylko ojciec Cyryl nie obojętnie na nich spoglądał. Uważał on, że Jadwiga po oddaleniu Bukowskiego przemówiła kilka słów do starościanki, i wyszła.

Wróciła niedługo, a jéj błękitne oczy i usteczka różane, zwykle uśmiechające, ubrały się w jakąś powagę. Zbliżyła się do Krystyny — przez chwilę szeptały, a ta ostatnia tak się zamyśliła, że aż młodziutkie czoło marszczyła.

Ojciec Cyryl zapytał jéj od niechcenia, nad czém tak rozmyśla. „Nad niczém“ odrzekła, ale jakieś przelęknienie mignęło na jéj licach. Dla jezuity było to dostateczne, widział, że śmielsze plany niż ich odwaga, snują się po dziewcząt głowach.

Po chwili zaproszono państwa do wieczerzy, a kiedy weszli do jadalnéj izby, ojciec Cyryl nie spuścił z oka panien.

Ledwie zasiedli, Janek spojrzał na Jadwigę, ona zwróciła się ku Krystynie, a ta na badawczy wzrok kochanka mocno się zarumieniła, skinęła jednak głową, jak gdyby chciała powiedzieć: „dobrze.“ Janek i panny nic do ust nie brali, choć mięsa i podlewy smaczne były jak zawsze.

U starostów choć i bez gości stół bywał długi, jak zasiedli dworscy mężczyzni, kobiety, i wszystko co było w domu szlacheckiego rodu. Po ukończonéj wieczerzy i odmowionéj modlitwie, każdy się zbliżał do państwa i kłaniał ręką do kolan. Teraz w tém ogólném zamieszaniu szepnął Janek kochance:

„Czekam was w sadzie,“ — a za przejściem do bawialnéj izby żegnał towarzystwo, żeby iść spocząć przed odjazdem kilka godzin. Jezuita uważał, że młodzieniec nie z większą czułością rozstawał się z Krystyną jak z wszystkiémi, i znać odgadł przyczynę, bo się słodziéj niż zwykle uśmiechnął.

Starosta sporym krokiem chwilę chodził po izbie, a potém zbliżył się do żony mówiąc:

„Marysinku! chcę z waszecią na osobności pomówić“ — i przeszli oboje do sypialnéj komnaty.

„Przychodzę wam powiedzieć moja Marysinku,“ mówił łagodnie ale z przyciskiem — że myślę o postanowieniu Krysi. Krótko powiedziawszy przyrzekłem ją w małżeństwo Jankowi Zbyszewskiemu. Młodzieniec miłuje ją całém sercém, i dzieweczka skłania się ku niemu. Idzie tylko o waszmości zezwolenie jako rodzicielki.“

„Kiedy waszeć przyrzekł, i dzieweczka zezwala, toć i ja się nie opieram. Choć prawdę mówiąc, to już pół-kapłan, grzech z takiego małżeństwa przed Bogiem i wstyd przed ludźmi.“

„Oj ukute to skrupuły w jezuickiéj kuźni“ odparł z żywością starosta, i znieukontentowaniem zaczął gładzić brodę. A potém ujął żonę za ręce, surowo na nią spojrzał, i rzekł głosem, z którego widać, że nie radby drugi raz swą wolę powtórzył:

„Przysiąż mi waszeć, że choć i żyw z wojny nie wrócę, oddacie Jankowi Zbyszewskiemu bez żadnych korowodów Krystynę w małżeństwo.“

Sam wyraz przysięga, wystraszył starościnę z duszy, bo w umyśle pobożnéj i bojaźliwéj niewiasty, uroczystość przysięgi miała coś przerażającego. Chwila więc upłynęła nim się zdobyła na odpowiedź.

„Co po przysiędze. Jeżeli młodzieniec wróci szczęśliwie, a będzie trwał ostatecznie, i dzieweczka go zechce, to i dobrze.“

„Kiedyć to z waszeci dobrą wolą, stwierdźcie więc przysięgą dla mego i młodzieńca miru.“ — I sięgnął po kościany krucyfiks na ścianę, położył go przed wylękłą żoną, która na tak silnie objawioną wolę małżonka, uklękła, złożyła palce na krzyż — i choć blada i drząca powtarzała za nim słowa przysięgi.

Po chwili podniosła się przelękła i chwiejąca, a mąż całował ją w ręce i mówił z czułością:

„Moja śliczna Marysinku, jam waszeci strachu nabawił, ale Bogu najlepiéj wiadomo, że wszystkie chwile chciałbym ci ozłocić.“

I jeszcze raz ucałował jéj ręce, i uspakajał przestraszoną.

Po odejściu męża starościna przywołała panien i służebnych, a po odśpiewaniu różanego wianka, Jadwiga z Krystyną skłoniwszy się do nóg jejmości na dobranoc, poszły do panieńskiéj izby, dworskie zaś panny zostały przy staróściny, aż się położyła. W panieńskiéj izbie służebne puchy na łóżkach uścielają, a Krystyna z Jadwigą zakryte karmazynowym kitajkowym namiotem osłaniającym żelazne łóżko pierwszéj, taką rozmowę prowadziły.

„Jadwisińku! ja mam iść do sadu.... teraz w nocy.... on tam na mnie czeka....“ — i drżącemi dłoniami ściskała ręce przyjaciółki.

„Pan Bukowski będzie z nami, ale Krysiu źle, to pewnie bardzo źle?“

Starościanka rzuciła się w jéj objęcia i mówiła łkając.

„Moja złota Jadwisiu — on jutro odjeżdża.... może go już nigdy nie obaczę, — a bardzo go miłuję.“

I serce tak jéj silnie biło, i lica przyjaciółki tak gorącemi łzami skrapiała, — że ta zapomniała o wszystkiém, widziała tylko jéj cierpienie. — Bo przyjaźń młodych dziewcząt jest jakby wstępem do miłości którą im młodzieniec przyniesie. Ich myśli i uczucia w jednéj chwili się rodzą, razem w świat wylatują, one się cieszą i płaczą nad jedném, często tylko dla tego, że uśmiech zabłysnął na ustach, lub łza w oku przyjaciółki. I w téj chwili serce Jadwigi, wtoruje miłosném uderzeniom serca Krystyny — jak dwa motyle z których jeden przyczepia się do lilii i ssie z niéj słodycz, a drugi krążąc nad nim napawa się jednak całą roskoszą.

Dziewczęta utuliwszy się troszkę w gwałtownéм wzruszeniu, zaczęły układać plan wyjścia, lecz nie długo rozdzieliły się, bo panny wróciły od starościny i udały do spoczynku.

Po chwili nic cichości nie przerywało, tylko jednostajne oddychanie śpiących. Krystyna uniosła z lekka namiotu, i przy drżącém świetle dopalającéj się głowni, dojrzała znak który jéj Jadwiga dawała do wyjścia.

Z cicha przysunęły się do drzwi, z bijącém sercém nacisnęły klamkę, a jéj trzaśnięcie zdawało im się tak głośne, iż niepodobna żeby się która z panien nie zbudziła. Natężyły słuch — lecz wszystko było cicho. Teraz w sieni już śmieléj odrzuciły zaporę u drzwi — i znów słuchały. Zdawało im się, że na górze jakiś szmer powstał, już myślały o odwrocie — lecz znów było spokojnie. Szybko więc przestąpiły próg sieni, przebiegły dziedziniec i bezpieczne stanęły w sadzie. A koło dworu psy zaszczekały, one się nieobróciły lecz tém spieszniej między drzewa uchodziły. Stanąwszy na umowionéм miejscu dopiero po za siebie spojrzały. Nic nie dostrzegły — tylko drżący cień odartych z liści gałęzi. Lecz naprzeciw ujrzały jakąś postać idącą ku sobie, i bojaźliwie przytulały się jedna do drugiéj. Z jakąż radością poznały w nadchodzącym Bukowskiego, który podał ramie Krystynie, i prowadził w największą gęstwinę.

Janek wysunął się z pomiędzy zarośli, i z uszanowaniem całował rękę kochanki. Jadwiga puściła przyjaciółkę, i została na straży, — a młodzieniec w milczeniu spoglądał w lica Krystyny, która spuszczonych oczu nieśmiała podnieść na niego. Przez chwilę nic cichości nie przerywało, tylko wiatr który szumiał po nagich gałęziach, unosząc ostatki zeschłych liści.

Bukowski zniecierpliwiony wąsa kręcił, a nakoniec przerwał:

„Mości Zbyszewski, krótkie chwile waszego widzenia — panny już drżą od zimna.“

Młodzieniec jakby przebudzony témi słowy, ukląkł przed Krystyną i mówił nieśmiało:

„Idę na wojnę, przyrzeczcie mi panno staróścianko, że za innego nie pójdziecie, i mnie będziecie czekać.“

Krystyna nic nie odrzekła, ale tém silniéj schwyciła ramie Bukowskiego, a Janka śmiałość wzrastała i zawołał z uniesieniem:

„O przysiążcie mi, przysiążcie, że tylko moją będziecie, bo inaczéj po powrocie z wojny zaszłyszycie, gdzie mój grób:“

„Panie Zbyszewski“ odparła przestraszona — „wyście tacy młodzi — pocóż o śmierci gadać.“

„A cóż mi po życiu bez was.“ — I uchwycił jéj dłonie i przycisnął do ust, a potém dodał z czułością:

„O powiedźcie, że mię choć przez połowę miłujecie jak ja was.“

Krystyna pochyliła się ku niemu i szepnęła: „kocham was.“

Janek zesunął z jéj palca pierścionek z Matką Boską, zdjął swój ze sercem, i oddał je Bukowskiemu mówiąc:

„Wyście nam w téj chwili ojcem, przeżegnajcie te pierścionki, a Bóg przyjmie wasze błogosławieństwo.“

Ten je odebrał, zrobił krzyż nad niemi, i zamienione włożył kochankom na palce. A Janek spojrzał w niebo i rzekł uroczystym głosem:

„Boże! przysięgam na święte imie twoje zaślubić Krystynę lub umrzéć.“ — To ostatnie słowo tak ponuro zabrzmiało w jego ustach, że Krystyna zadrżała — padła na kolana i wyrzekła śmiało:

„Przysięgam tylko zaślubić Janka Zbyszewskiego. Gdybym miała tego nie dotrzymać, Boże mój skarz mię wtedy na wieki!“

Młodzieniec w niemém milczeniu patrzał na kochankę, bo w jéj obliczu, i wzroku podniesionym, tyle było miłości i uczucia, iż mu się zdawało jedną z tych świętych dziewic których żywota czytywał.

Krystyna powstała, wyciągnęła ku niemu dłonie mówiąc:

„Żegnam was — choć się nie połączymy tu, to tam“ i wskazała ku niebu.

Janek przyciskał do ust podane dłonie, powtarzał przysięgi miłości i ona ku niemu schylona zapewniła go o swéj stałości, kiedy Jadwiga się przysunęła i rzekła z cicha „patrzcie!“

Spojrzeli, — a niedaleko przemknęła się postać w czarnéj długiéj sukni, i przy wysoko w zbitym księżycu łatwo poznali ojca Cyryla.

Krystyna spiesznie wyrwała dłonie z rąk młodzieńca. „Bądźcie zdrowi!“ szepnęła, i wkrótce zniknęły z Jadwigą w cieniu gałęzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Listy z Krakowa

przez

Józefa Kremera.

Pan Józef Kremer, zaszczytnie znany z rozpraw swoich filozoficznych, z których Rys fenomenologii Ducha osobno był wydrukowany, wydał pierwszy tom listów z Krakowa, w których traktuje kwestye estetyczne. Krytyka dzieł nie należy do zakresu Dziennika naszego, zostawiamy ją co do przytoczonego dzieła innym pismom czasowym. Nie możemy wszakże nie zalecić go naszym czytelnikom, dla tego, że rzadko coś równie pięknego pod względem stylu i ubrania rzeczy czytać zdarzy się. Jeżeli estetycznéj treści odpowiadać powinna forma estetyczna, listy pana Kremera są w zewnętrzném opracowaniu swojém najpiękniejszą formą dla pięknych przedmiotów. Stylowe obrazy autora można obok arcydzieł sztuki malarstwa postawić. Wytworna niby gotycka architektonika całości i rzeźbiarska wydatność rysów, zdobi peryody i ustępy pojedyńcze, a dziwna harmonia wyrazów wdzięcznie przypada do słuchu.

Na dowód przytaczamy dwa miejsca obrazowe, nad które nic równego nie czytaliśmy. Jest to obraz Tatrów które autor, jak nam zkąd inąd wiadomo sam zwiedzał i duszę swoję całą poezyą pysznego widoku narodu z tych wysokości napełnił; — drugi jest obraz pierwotnéj jeszcze dziczy i bujności lasów amerykańskich, które z opisów podróżnych autor do wyobraźni swojéj przeniósł — i jakby pędzlem biegłego malarza w malowniczym naszym języku wydał:

„Odwiedźno te nasze Tatry, zapuść się w serce tych olbrzymich grodów natury, a wnet odstąpią myśli porównywające sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć sioła i kołyszące się błogosławieństwem zbożne łany, i wstąp na ostrze łomnickiéj iglicy, na najwyższy szczyt Krępaku, wspinaj się po piętrach coraz wznioślejszych, przedrzyj się przez wszystkie szczeble coraz biedniejszéj, coraz niższéj, roślinności. Przebywszy bory ciemnéj sosny, wyżéj dosięgnij krzewów karłowatéj brzozy, wyżéj jeszcze granice najwznioślejszych polan, zostaw następnie pod sobą państwo czarnéj kosodrzewiny o rozkręconych warkoczach, następnie ostatnie smugi traw zielonych, a staniesz w smutnéj ojczyznie gładkich i suchych mchów i pierwotnych porostów, kędy poczyna się grobowe samowładztwo martwego kamienia. W koło dźwigają się stos na stosie gruzy ogromnych bałwanów granitowych; — głuchego zniszczenia obraz. Roztworzą ci się ze wsząd niby ulice, niby labiryntne budowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów, a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni tu kwiatek zabłyśnie, ni ptaszek zaszeleści, wszelki głos tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu tylko, usłyszysz martwy i trupi łoskot; jest to skała granitowa, co urwawszy się z posady swéj, w podskoki szalone podbijając się niby rykoszetem, coraz chyżéj a chyżéj pędzi, i warcząc przepada w otchłaniach: porywa w swym polocie do okropnéj podróży tłumy skalnych ułomów, góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem — i znów ucichła. Znowu natura w koło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci, okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze, niż głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżéj, a wyżéj po urwiskach stérczących i stromych upłazach, aż cię kołem obstąpią, niby straszydła niebosiężne, szczyty bure Tatrów, syny innéj natury, co je zrodziła wśród mąk i cierpień ziemia nasza, i wśród wywrotów całéj świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną czarną, pokrytą śniegów płachtą niby koszulą śmiertelną, bo tu skonanie wszelkiego żywota i ciemno wiecznie i wiecznie zimno. Gdy po długiéj fizycznéj pracy, po twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samém ostrzu łomnickim; świat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą niby morzem nieprzejrzanem, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się jakby oceanu wody. Turnie stérczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

„W rychle wiatry tu i owdzie przedarły obłoków oponę, a po przez te szczeliny, jakby przez okna widzisz w przepaści płatami świat zielony, roskoszny. Teraz rozstąpiły się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mappą na dnie otchłani roztaczają się całe kraje, rzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym

widokręgu, święci się stary Kraków nasz. Kréchy ciemniejsze, tu i owdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bezkształtne spłynęły mieszkania ludzi, sioła i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny, i zwierzęta i rośliny i trop dzikiéj kozy i gniazda tatrzańskich orłów, i wszystko przepadło w toni głębokiéj, przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiechy i westchnienia. — Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiewa ochłodą, a przeczucie nieśmiertelnéj istoty twéj wzmaga się w piersiach, i tysiączne dotychczas drzémiące w duszy głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tuteczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; — coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, — niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przebył chwilę skonania twego i odprawił już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień szrężogę patrzał się na lata twoje upłynione na ziemi, co jeno słabo jeszcze brzmią w sercu, niby głosy dalekiéj muzyki. Wszystko, co doczesne, w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad ziemią, niby dymy ofiarnych kadzideł; poséła je świat ku niebu, jako modlitwy dziękczynienia i zrękowiny swoje z Bogiem.

„Mamyż się jeszcze w myśli postawić na śnieżnych czubach wiekuistéj Himalai, lub na lodowych Andów lub Alpów rogalu? kędy atmosfera rzadka, misterna, niezafarbowana więcéj błękitną barwą, ale gdzie na miejsce lazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

„A przecież, a przecież zaprawdę, drogi przyjacielu mój, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące. Zaprawdę, wysokie są Alpów i Tatrów przyczoła, ale wyżéj sięgają zacne człowieka sprawy. Gwiazdy goreją chwałą Boga na niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożéj się dzieją.

„Spojrzyjmy na one zwrotnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, którémi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszéj chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicestwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura niewidzianéj u nas siły, jakby kościołem Bożym obejmie cię dokoła. Paprocie, znane naszéj ciemnéj i biednéj północy jako mdłe i nikłe trawy i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią, rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłéj i poetycznéj formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym splotem w ciemną strzechę, co nieprzebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew, niby lekkie śmiałe kolumny, podpierają borów strop. Tu nie ma próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące, gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedne drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody w całéj mocy i uroku, cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące, ciżbą wiją się wężem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi linami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoję. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdém drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnéj barwy; bo odmienne z natury swojéj pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach, i wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemię wzniesione. Scena ta cudownego powabu, zaludniona gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się skąpały w złotém świetle słońca, a roje płoche różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub chuśtając się po rozwieszanych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, albo witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych; gdzieś znów z daleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia, wylany na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj była wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wieczném natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszczą i ogniem błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwy-

cona we wichru objęcie, miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękną z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby kataraktów huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo, i otworzy nawałnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drząc do norów, — powszechna trwoga, bo życie lęka się szału żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznéj przyrody.

„Tu, do téj czystéj krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszcze, by odświeżyć ducha swego w téj naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszém zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacyi, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona niewycieńczona na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia poczekawszy wieki w spokojnéj swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń, zagrzebują je jakby w grobie gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści długim lat szeregiem złożone. Gdzieniegdzie tylko stérczy z ziemi konar zuchwałém ramieniem, dając znać, iż w téj dzikiéj i wolnéj przyrodzie śmierć włada. Ale tu śmierć odradza się żywotem tysiącznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiące pieśni śpiéwaków skrzydlatych.“

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania — Uczniowie Gymnasium chełmińskiego postanowili założyć sobie Bibliotekę polską. Ponieważ to przechodzi możność młodzieży niemającéj zwykle dochodów, udali się do swoich krewnych i ludzi, w których pokładają zaufanie i upatrują miłość rzeczy narodowych nawet tu w Poznaniu. Przyrzeczono im już niejaki zasiłek i książki mają się odsełać do Chełmna na ręce professora Łożyńskiego. Spodziewać się należy, że obywatele chełmińskiéj i ziem pobliższych, nietylko pochwalą tę szlachetną dążność swoich synów, ale ich dobre chęci po ojcowsku wesprą. Niemasz wątpliwości, iż w téjtam okolicy mogłoby powstać nie jedno dobre, gdyby się ktoś znalazł, coby o jakiém stowarzyszeniu pomyślał. Po swoich bowiem domach zawsze się tylko dobre obiady pozjadają, czas na zabawie dobrze się ubije, ale dla ogółu bardzo mało się zrobi. Kto czuje, iż mógłby rozpierzchnięte pierwiastki w całość jakąkolwiek związać, a tego nie robi, ten bierze na siebie prawdziwą odpowiedzialność.

— Drugi tom „Roku 1843.“ opuścił w tym tygodniu prassę, zawiera kilka słów o szczególném stanowisku piśmiennictwa naszego przez Moraczewskiego, o odwadze cywilnéj przez Libelta, przegląd literatury słowiańskiéj przez Cybulskiego, pierwsze wrażenia podróżnego w liście z Poznania przez Władysława Wężyka, mowę Lamartina i doniesienie o mającéj się drukować Myślini to jest loice Trentowskiego.

— Z Francyi otrzymaliśmy następującą naganę: „W Dzienniku Domowym napotkałem zuchwałe napady na Towiańszczyznę. Bądźcie przekonani, że kocham Polskę tak dobrze jak Wy, że za nią cierpiałem i cierpię; że doświadczeniem nabyłem świadomości gdzie największa siła i jak ją rozbudzić, żeśmy tu nie powaryowali jak się może zdawać zdaleka, aniśmy tak lekcewierni, aby lada szarlatan mógł nas obłąkać. O tém wszystkiém sumiennie mogę Was zapewnić, tak jak Was kocham pracujących dla Polski — ale oraz mam obowiązek ostrzedz jako ludzi charakternych — i którym sprzyjam: nie kalajcie waszego pióra rozgłaszaniem rzeczy, za których prawdziwość żadenby z Was pono, niepozwolił sobie nietylko uciąć, ale skaleczyć palca u ręki.“ — List, z którego ten wyjątek — pisany był do nas prywatnie. Szanowny autor zapewne nie zarzuci nam, żeśmy przez wydrukowanie nadużyli jego zaufania, skoro imie autora ściśle u siebie pozostawiamy. Owszém powinien w nas uznać pewne przywiązanie do wykrywania prawdy. W rzeczach ogólnego interesu, a dobrze nam znanych, neutralność tłumaczymy przez nijakość i powiadamy, że w nich tylko ludzie nijacy mogą być neutralnymi; my chwytamy się zawsze białego lub czarnego, a nie pozostajemy przy szarym, najbrzydszym kolorze. Co do Towiańszczyzny, niepodobna dziś pismu czasowemu o niéj milczeć, ponieważ się robi sama głośną. My zmuszeni jesteśmy o niéj mówić. Wszystko zaś co się o niéj słyszy i czyta, jest tylko przeciw niéj wymierzone. Nie obciąża nas zarzut, iż jéj z bliska nieznamy, boć redaktorowie donoszą o Azyi, Afryce, Ameryce, choć tych części ziemi także nie zwiedzali, bo historycy opisują zwykle nie swoje czasy. We wielu rzeczach trzeba drugim zaufać. Skoro wystąpią obrońcy Towiańszczyzny, wtedy znowu będziemy

mówili podług fakt i dat przed oczy nam położonych. Pisma czasowe z czasu i obrazy i koloryt brać muszą. Dotychczas nauka Towiańskiego niepodoba nam się dla mistycyzmu, który pokazuje widocznie, a o którym z wielu miar źle zawsze trzymaliśmy. Towiańskiemu samemu nigdzieśmy osobistego zarzutu nierobili, który go gdzieindziéj spotyka, jakoby miał mieć nawet złe zamiary. Wiemy dobrze, że w emigracyi jest niepospolita liczba ludzi i uczonych i rozumnych, ale znamy nieszczęśliwe ich stanowisko, znamy do sfery urojeń podniesionego ducha, oderwanego od ziemi. O Towiańszczyznie wiemy tyle, że chrześciaństwo uważa tylko za materyał przydatny do całkiém nowéj budowy — my zaś jesteśmy tego przekonania, że chrześciaństwo w teraźniejszéj sile i postaci swojéj ma jeszcze długi zakres; obejdzie się bez radykalnéj reformy i wszelkie wznowicieli usiłowania nie zajdą daléj, jak je doprowadził Père Enfentin.

W kilku miastach angielskich utworzono nowy rodzaj towarzystw, który zapewne spodoba się kobietom. Znaczna liczba młodzieńców umówiła między sobą składkę po 2 szilingi na tydzień. Uzbierana w ten sposób summa pieniędzy zostaje złożoną w kasie oszczędności, a pierwszy z nich, który się ożeni, otrzymuje całkowitą składkę w dzień ślubu wraz z procentami.

MODY.

Paryż, dnia 14. Kwietnia 1843.

Kapelusze i kapotki najwięcéj teraz zajmują fantazyą modystek. Modele, któreśmy widzieli, bardziéj się odróżniają szczegółami, wystrojem, aniżeli samą formą, która pozostaje małą i równo-poziomą, ku górze cokolwiek ścieśnioną, u dołu wygiętą.

Winne lata nie ukazywały się kapelusze ryżowe na początku wiosny, teraz widzieć je możemy we wszystkich wielkich składach modnych, jako przedmioty zbytku, jako kapotki z główką jedwabną, lub też z wstążkami gazowemi w ukos na obwodzie.

Są także kapelusze ryżowe z słaniającemi się piórami nakrapianemi lub owisłemi gałęziami kwiatów, jakoteż kapelusze z hiszpańskich koronek z lśniącym marabutem, — inne z białéj, cytrynowo-żółtéj, różowéj lub niebieskiéj krepy z piórami — lub bukietami pierzastemi.

Inne kapelusz-kapotki, wcale nowy utwór, są z gazy wrabianéj, z paskami ryżowemi i maleńką gałązką bzu.

Nic piękniejszego nad kapelusz z tkaniny sylfid, z barbką blondynową, która nakształt kaskady spada na bok i jest podpiętą różową bzu gałązką.

Szlafroczek, suknie domowe i negliże bardzo dobrze wyglądają z peleryną, jeżeli ta tylko z tyłu w okrąg jest krojoną; z przodu są końce nie schodzące się ze sobą, tak, że widać stanik nie zakryty.

Rękawy są z jednéj sztuki, z cwiklem na łokcu i małą wyłogą; na ramieniu zawsze znajduje się jaki przystrój.

Rękawy à la Ludwik 13. podobać się zapewne będą w cieplejszéj porze; są one jak wiadomo półdługie z wydatną wyłogą i zachodzą do połowy ramienia; z pod nich wychodzi rękaw bufkowy z indyjskiego muślinu lub tarlatanu.

Kryspiny także nosić będą, jak powiadają; to pewna, że najlepsze hafciarki pracują nad podobnemi kryspinami; są one najczęściéj wyrabiane z tarlatanu, tak iż przez nie suknia przegląda. Są przecie odmienne od przeszłych; część górna tworzy część osobną (ramiona mogą być przełożone); suty haft zdobi ją w kilka rzędów, pod nimi kosztowne koronki są przyszyte. Nie można sobie wystawić nic sutszego i zdobniejszego.

Powłok nie noszą teraz tak napuszonych przez spodnice jak dawniéj; najwięcéj podobają się owe, które trzymają środek między napuszonemi i zupełnie gładkiemi.

Objaśnienie ryciny.

1. Ściągana kapotka z lekkiéj tkaniny jedwabnéj. Suknia w paski. Powłoka dwoma osadzona ukosami, które otacza garnitur wstążkowy. Rękawy obcisłe.
2. Kapotka z słaniającém się piórem. Szlafroczek w kolorze morskiéj wody. Stanik i rękawy gładkie. Powłoka bardzo obszerna, z przodu ozdobiona bufkami w ukos ściąganemi.
3. Kapotka, obwód ku twarzy pochylony, boki wygięte. Szlafroczek z mieniącéj tkaniny. Stanik i rękawy obcisłe, ozdoby — wielkie guziki i pasamony. Długi szal koronkowy. Kołnierzyk i chustka do nosa z falbaną haftowaną.
4. Frak z wązkiemi rękawami, świecącemi guzikami i klapami na biodrach. Pantalony jasne i obcisłe. Jedwabny krawat.
5. Bronzowy frak z jedwabnemi guzikami. Kamizelka bez kołnierza. Pantalony w jasnym kolorze. Kapelusz wysoki z szerokim obwodem.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*